

Igor Mostowicz

O świecie, który przeminął

(fragment powieści)

Jaś urodził się jako czwarty, żywy syn swych rodziców, a poprzedni bracia zaraz po urodzeniu zmarli. Świat zobaczył w listopadzie 1949 roku ok. 4.50 rano i przyszedł nań poprzez „cesarskie cięcie”. Ważył prawie 6 kilogramów. Nauczył się chodzić rok później, choć w wieku 8 miesięcy powtarzał bez zrozumienia zasłyszane wypowiedzi rodziców i sąsiadów piękną polszczyzną. Najczęstszą partnerką jego zabaw była długowłosa, ruda suka o imieniu Lotta, której często dokuczał ciągnąc ją za uszy i ogon, ale nigdy go nie ugryzła, znosząc z pokorą jego dokuczliwe pieszczoty. Nie pozwalała także obcym ludziom dotykać Jasia, i można powiedzieć, że była jego czworonożną piastunką. Kiedy pierwszy raz ojciec wziął go na targ do pobliskiego miasteczka – Starego Sącza – jadąc furmanką, oglądał wielkie plakaty człowieka uśmiechniętego z wąsami, poprzyklejane na drewnianych tablicach ogłoszeń, bramach domów i ścianach. Na pytanie: kto to jest?, ojciec odpowiedział mu, że to wódz narodów wspólnoty socjalistycznej – towarzysz Generalissimus Stalin! W oczach ojca zauważył jednak kpiarski uśmiech. Ojciec dodał, że to jest „kult jednostki” i nie należy nikomu o nim nic złego mówić. Sąsiedzi mogą donieść na taką rodzinę do władz i tata może być zabrany z domu i zaaresztowany. A u nas w wychodku są gazety z jego portretami – powiedział Jaś, pełniące funkcje papieru toaletowego. Tata odpowiedział, że obecnie go się nie produkuje, bo to towar burżuazyjny, niedostępny przeciętnemu obywatelowi. A o tym, że takimi gazetami podciera się zadki – też nie można mówić nikomu. Po dokonaniu zakupów i handlu wiejskimi produktami, wszyscy jechali milcząc do domu. Na gościńcu było słychać turkot furmanek i klekot koński kopyt. Jaś, mama i tata milczeli do samego domu.

Po południu zaczęło mocno padać. Deszcz i błoto są najlepszą zabawą prowadzącą do zrozumienia mechanizmów rządzących światem. Wystarczy, że z rynien leją się strumienie wody na podwórkę, z który powstaje rzeka i pędzi w kierunku zarośli, mijając po drodze suchy piach zebrany pod wozownią. Potem zebrany strumyk płynie dalej rwiście byłym korytem, w poprzek którego można zbudować zaporę i umieścić w niej prymitywne koło młyńskie. Przednia zabawa jest już pewna, bo kręci się i można nim regulować szybkość przepływu wody przez łopaty koła, by nadać tępo spływowi kolejnych partyjek wody. Wkoło robi się błotko, z którego można budować różne ulepszenia tej zapory, np. tamki, które modelują przebieg głównego nurtu tak powstałej okresowo rzeczka. To miejsce jest wymarzoną

do zabawy dla trój-letniego chłopca, który nie ma ciekawych zabawek, a jedynie konika drewnianego, wystruganego przez ojca. Zawsze problem jest ze spodniami! Konik może poczekać, bo zmoczony w wodzie i wybazgrany błotem budzi odruch obrzydzenia. Dopiero jak zaświeci słońce, osuszy plac, można będzie konika i spodnie zanieść na suchy piasek, tam obstarwić i zaprzęgnąć do naprędce skonstruowanego wozu z gałęzi i klocków z drzewa, zaś spodnie naciągnąć na pupę. Można więc zakrzyknąć: wio koniku, wio! I namiastka powożenia jest już gotowa. Można dalej budować drogę dla zaprzęgu, a po krótkim odpoczynku przenieść cały zaprzęg o metr dalej i tak kilka razy, by na końcu drogi trafić na plac targowy. Tam leżą kamyczki, liście, patyczki, które można potraktować jako towary i wyładować nimi furmankę, nawrócić, ale i wracać z powrotem do domu. Po przyjeździe można rozładować je w szybko skonstruowanej szopie. Kiedy się już to robi i dalsza zabawa staje się mało atrakcyjna, bo czuje się głód i żołądek przylega do kręgosłupa, trzeba pobiec do polowej kuchni: do mamy po kawałek chleba z masłem i kubek mleka. Jeśli mleka nie ma, bo w blaszanej wirówce zostało spuszczone do studni, mama serwuje chleb ze smalcem i kubek gorącej, słodkiej herbaty. Po zaspokojeniu głodu czas na namysł: co by dalej robić?

W pobliskich chałupach, najczęściej pod strzechą, były obory ze stanowiskami dla konia, krów, owiec i kóz, a przy nich budowano gnojowniki, do których wyrzucano gnój od bydła. Po obfitym deszczu gnój pływał jak wyspa, a obok niego deska po której na taczach go wywożono. Trudno było małemu chłopcu nie skorzystać z okazji, by nie puszczając sobie tratw na tym bajorze gnojówki. Niestety ciągle moczył krótkie spodnie i przybiegał do domu, by wziąć następne, a mokre wrzucał do ogródka z kwiatami przy domu. Kiedy mama zauważyła brak spodni wczoraj wypranych, dzisiaj już zmoczonych w gnojówce, wymierzała karę patykami po nogach i pupie. Samo bicie i ból nie były straszne, ale kazania moralne mamy obwiniającego chłopca za wszystkie możliwe grzechy tego świata. Budził się w nim ból psychiczny i świadomość, że się nie umie poprawić w swoich zachowaniach. Niestety – ten stan ducha szybko mijał i syn znów robił to, co poprzednio. I tak upływały kolejne dni wiosny i lata. Zaś jak rodzice wyjeżdżali na targ do miasta i zamykali go w domu na klucz, umiał sobie jednak otworzyć okno i przywołać starszego kolegę z sąsiedztwa, który przystawiał mu drobnie, by opuścić to chwilowe więzienie. I znów zaczynały się żeglowania w gnojowniku, znikwały kolejne

suche i czyste spodnie. A kiedy przyjechali rodzice z miasta było pewne, że skończy się to dupobiciem i tym najgorszym – kazaniem umoralniającym. Można było jednak na chwilę odpocząć, bo mama najczęściej przywoziła kilka landrynek dla pocieszenia podniebienia, albo pomidora, którego nie lubił, bo w domu nie rosły. Nawet posypanie go cukrem budziło obrzydzenie i ten zapach... bardziej wiercił w nosie jak zapach gnojówki.

Kiedy pogoda się popsowała, bo przyszedł znad Ukrainy – jak mówił dziadek – długie deszcze i trzeba było zostać w domu, Jaś najbardziej lubił wtedy budowę domu ze szczypek, którymi palono w kuchni. Zabawa ta miała jednak pewną słabą stronę, bo sukcesywnie podkładano te drewnienka pod kuchnię, gdzie gotował się obiad. Po pół dnia szczypek już nie było. Po zjedzeniu obiadu, najczęściej samej zupy, ojciec przynosił kolejną porcję szczypek i można było dalej bawić się w budowniczego drewnianego domku. Jednak kiedy młodsza siostra nauczyła się chodzić również chciała pomagać w budowie. Najczęściej taka obopólna konstrukcja kończyła się katastrofą budowlaną, a w konsekwencji bijatyką z siostrą. Nie ważne było kto rozpoczął awanturę, ale jako starszy Jaś powinien był, w opinii rodziców, ustąpić młodszej siostrze. Tak więc był karany za niesubordynację i brak opieki nad siostrą, np. podkręceniem ucha. Nie mogąc wygrać konkurencji budowlanej z siostrą, rozciągał duży koc i wczółgiwał się pod niego, by straszyć siostrę i by przejąć kierowanie zabawą. Siostra jednak zdaje się miała takie samo pragnienie, a więc wzięła szczypkę i zdzieliła podkocowego stracha przez łeb. On stracił świadomość i padł. I pewnie by się udusił, gdyby nie spostrzegawcza mama, która ściągnęła koc i kubkiem zimnej wody ocuciła syna, ocalając jego życie. Po tym zającach i atrakcjach mama zapędziła Jasia do paciora. Musiał się porządnie dwa razy przeżegnać, zmówić Ojcze nasz..., Zdrowaś Maryjo... i Aniele Boży, Stróżu mój..., Amen. Jaś po paciorku szybko dawał nura pod pierzynę i szybko zasypiał.

